



## K O C H A N I

Takem ogromnie długo z Wami nie rozmawiał!  
Ho, ho!

Wtedy jeszcze zeszloroczny śnieg leżał w dołach i po krzakach, a na drogach błocko było głębokie.

Bardzo dawno to było. Hen, przeszła wiosna! Pewnieście już wszyscy pozapominali o mnie?! Więc się Wam przypominam: **Krasnal** — jestem **Długonogi**.

Tak się to wtedy złożyło, że, gdy wiosenka zeszloroczna śniegi i lody topić zaczęła, zachorował Krasnalek **Wędrowny**. Zaziębił się widocznie, biedaczyna. Zastąpić więc go trzeba było, bo któryś z Krasnali musiał przecież ziemi stróżować, szkodnikom w drogę wchodzić i straszyć **Duszki Niedobre**.

I oto w dzionek słoneczny, ale zimny jeszcze, bo kwietniowy, zwołał mnie do siebie Stary Krasnal i oznajmił głosem smutnym, ale rozkazującym:

— **Wędrowny** zachorował. Musisz go zastąpić, a że nogi masz długie, więc Ci zbyt trudno nie będzie. Masz Ci tu buty z podkówką żelazną, a tu masz płaszcz wiatrem podszyty, żeby Ci nie ciążył zbytnio. Masz tu jeszcze butelczynę, w którą wody nalać możesz, a tu chlebak, żebyś chlebusia ze sobą wziąć mógł na drogę. A tu masz jeszcze plecak, bo z kuferkiem iść niewygodnie. Ruszaj w drogę! A wrócisz, gdy **Wędrowny** zdrow będzie!

Podsłoczyłem radośnie i w podkówki trzasnąłem z hałasem, bo się lubię po świecie przechadzać czasami, a **Wędrowny** już rychło zdrow będzie.

Wysmarowałem pięknie smalcem buciary podkute, bo drogi jeszcze okrutnie były błotniste, i ruszyłem. Machałem swymi długimi kulasami, że tylko bryzgi leciały spod podeszew.

Wiosenka coraz bardziej i bardziej słońkiem przygrzewała.

Schły drogi, a trawka stawała się coraz zieleńsza. Zakwitły przyłaszczki, sasanki, fiołki...

Dzionki stawały się coraz dłuższe, coraz cieplejsze. Przyszły maj i czerwiec się zbliżał.

A ja wciąż machałem swymi długimi nożyskami po pylistych drogach.

Nadeszło lato. Przekwitły paprocie. Żytko się złocić zaczęło i gorąco było ogromnie.

Zdarły mi się podkówki na drogach twardych i na polach zoranych. Musiałem do miasta, do szewca, nawrócić i **znowu iść dalej i dalej, bo Wędrowny, w łóżečku wciąż leżał**.

Więc przez łaki, lasy i pola, po gościńcach i po ścieżkach wążuchnych, szedłem ciągle poprzez wioski i miasta.

Ho, ho! Czegom nie widział, czegom tylko nie słyszał!

A kiedy przyszła jesień i sady zapachły jabłkami, zawędrowałem w okolice, gdzie przyjaciele moi mieszkają.

Pierwszą Tusię z Rezekne spotkałem. Oczom wierzyć nie chciałem, tak urosła. Spotkałem Janka i Olka, Zbyszka i Edka. Nie poznali mnie, naturalnie, bo brodę krasnalową miałem ogoloną i strój miałem Krasnalom niezwyčajny.

Wielu widziałem przyjaciół! W Rezekne, Fejmanach, Dubulach, Daugawpils i w Rydze. Wszystkich, co do mnie listy częste pisali, poznawałem od razu, z daleka.

Spotykam i teraz, prawie co dzień. Ale zanim nie skończę wędrowki, nie mogę się do nich przybliżać, tylko z daleka popatrzeć mi na nich wolno.

Jesień długo stała piękna, słoneczna. Aż przyszła zima i zasypała ją śniegiem, skuła mrozem.

Zaczęły mi nogi ziębnąć w ciężkich buciarach, które tak trudno przestawiać po głębokim śniegu. Zmęczyłem się mocno daleką wędrowką. Zechciało mi się znowu do domu, do Waszych listów. Do „Krasnoludkowych“ stroniczek zatęskniłem.

A Krasnalek Wędrowny z łóžeczka wciąż nie wstawał, wciąż chory był ciężko, więc musiałem dalej obowiązek jego pełnić.

A iść było coraz trudniej, bo mróz bywał srogi i śnieżyce. A zaspasy były głębokie.

Razu jednego zabląkałem się w lesie. Nadeszła noc. Było mi bardzo smutno i byłem bardzo zmęczony.

Usiadłem sobie pod krzaczkiem i pomyślałem:

— „Dalej nie pójde. Nie mogę. Zmęczony jestem. Królowna Szczęście zapomniała o mnie zupełnie. Zaczekam tu na nią, a jeśli nie przyjdzie, to sobie umrę tu pod tym krzaczkiem.

Tak sobie siedzę i na płacz mi się zbiera z żałości.

Nagle słyszę szelest jakiś spod sąsiedniej sosny.

Patrzę: spod korzeni wielkich, chodnikiem w śniegu wykopanym idzie znajomek mój i przyjaciel — Krasnalek Leśny w kozuch olbrzymi otulony.

Nie ucieszył mnie nawet jego widok, tak bardzo byłem niešťęśliwy.

Krasnalek Leśny podszedł do mnie, w ręce chuchnął, bo ziąb był wielki, i rozpytywać mnie zaczął o wszystkim, bo dawno już z lasu nie wychodził.

Odpowiadałem mu tylko półgębkiem.

— A Ty właściwie co tu robisz? — zapytał.

— Czekam — odburknałem.

— Na co, na kogo?

— Na Szczęście czekam, może wreszcie przyjdzie i uśmiechnie się do mnie — odparłem.

Krasnal Leśny przysiadł się do mnie bliżutko, otulił połą swego wielkiego kozucha i rozpytywać o wszystko zaczął serdecznie.

Opowiedziałem mu, co i jak. Żem się zmęczył, że niešťęśliwy jestem, bo lubię powędrować krzynkę, ale nie tak ciągle, a teraz to nie wiem kiedy skończę swą wędrowkę, że postanowiłem tu czekać, aż Królowna Szczęście przyjdzie i uśmiechnie się do mnie. A jeśli nie przyjdzie, to umrę tu pod tym krzakiem.

Krasnalek Leśny myślał długo i poważnie, wreszcie znów zaczął mówić.

— Widzisz, z tą Królowną Szczęście, to jest tak: ludzi jest bardzo dużo na świecie i każdy czeka i każdy się spodziewa uśmiechu Królowny. Ludzi jest dużo, a Królowna jest jedna,

więc zanim wszystkich obejdzie i każdemu coś da w darze, to wiele wiele lat uplynie, może dziesięć, może sto, a może i tyśiąć. A więc można czekać i czekać, przez całe życie i . . . nie doczekać się, bo ludzi jest dużo, świat jest wielki, a królowna Szcześnie tylko jedna. Więc nie wolno siedzieć i czekać, trzeba pomóc królownie w jej pracy, trzeba iść jej na spotkanie. Szukać jej. Widzisz, drogi są takie dalekie, a świat szeroki. Nie wiadomo gdzie jest Królowna. Ludzie szukają jej, a żeby prędzej odnaleźć, powymyślali auta i samoloty, telefony, radia . . . Szukają i znajdują.

— Tak! Ale ja nie mam ani samolotu, ani auta, ani radia. Mam tylko w ciężkie buciany obute długie nogi, a i te są zmęczone. Jakże ją odnajdę? — mówiłem.

— Eh, Długonogi! Nie auto i samolot odnajdują Królownę Szcześnie, ale ci, którzy jej szukają. A żeby ją odnaleźć, nie trzeba maszyny, trzeba mieć dobrze widzące oczy, słyszające uszy i serce czujące, a wtedy wystarczą nawet krótkie nożyny, chociażby całkiem buciarków nie miały.

Tak rzekł Krasnalek Leśny i, poklepawszy mnie po ramieniu, ruszył obejrzeć co robią wiewiórki.

Długo myślałem o tym, co powiedział przyjaciel. Myślałem, aż raźniej mi się zrobiło i na sercu weselej. I choć mi nogi mocno jeszcze bolały, ruszyłem dalej, a żeby odszukać Królownę.

To spotkanie z Krasnalkiem Leśnym miałem zaraz po Nowym Roku. Sporo więc już dzionków minęło, ale jeszcze nie odnalazł Królowny.

Jednak chociaż nie odnalazłem jeszcze Królowny — wiem, że ją znajdę, bo oczy mam widzące, uszy słyszące i serce czujące. Nie jestem więc już tak smutny i zmęczony, jak wtedy w lesie.

Może które z Was spotkało Królownę? — Czy też wie gdzie Ona przebywa obecnie? Jeżeli wiecie — napiszcie, bardzo Wam będę wdzięczny.

Ściskam Was wszystkich!

Krasnal Długonogi

## Dzieje babci Mienialskiej

Babci Mienialskiej opowiem wam dzieje bardzo ciekawe. Niech się nikt nie śmieje, że się zmęczyła w dalekiej swej drodze, bo się szarlotki zachciało niebodze. złotej, chrupiącej z słodkimi jabłkami . . .

Myślę, że chętnie zjadacie je sami.

Ale w ogrodzie babci Mienialskiej nie było jabłek. Rosła tylko stara śliwa, co w tym roku pięknie obrodziła i śliwki fioletowe same do ust leciały. Na nic one babci Mienialskiej: do szarlotki, jabłek potrzeba. Ma babcia mąki, i cukru, i masła i jaje dosyć — na nic to wszystko, kiedy jabłek braknie!

Wzięła babcia koszyk i postanowiła iść

szukać jabłek. Wychodząc, popatrzyła na śliwki, co się do koszyka prosiły.

— Narwę śliwek — pomyślała, — może mi kto da jabłek za nie.

I z pełnym koszykiem na poszukiwanie jabłek ruszyła. Szła długo prosto przed siebie, aż zaszła do malej zagrody, skąd dochodziło głośnie gęganie, kwakanie, gdakanie. Weszła w podwórze i pozdrowiła młodą gospodynię, co ptactwu jeść dawała. Od słowa do słowa rozgadały się serdecznie i wreszcie babcia Mienialska o jabłku poprosiła w zamian za śliwki. Ale młoda gosposia jabłek nie miała, za to śliwki bardzo jej się podobały.

— Mój Iasiuś — powiada — nie tak nie lubi, jak chleb z powidłami. Miałby malce uciechę z tych śliwek! Ale nic innego wam, babciu, za nie dać nie mogę, jak tyl-

ko pierze, z moich gęsi wyskubane, Weźcie, proszę, ten woreczek z pierzem, a dajcie mi sliwki.

— Pierze to nie jabłka — powiada babcia, — ale zamienię się z wami, niech choć jedna gospodyni ma, czego jej trzeba.

Tak też kobiety zrobiły i pożegnały się serdecznie. Pierze lepsze było od sliwek i babcia zżawo naprzód ruszyła. Na zielonym wzgórzu zobaczyła mały domek, a w około słiczny ogródek. Świeże i pachnące rosły tam kwiaty białe, różowe, czerwone. Stała babcia w ogrodzie i patrzy na te piękności, aż tu za sobą kłótnię zawziętą słyszy.

— Słomy trzeba, słomy! — krzyczy gospodarz grubym głosem.

A żona woła piskliwie:

— Siana trzeba, siana!

Spostrzegli babcie i proszą, aby spór rozstrzygnęła: czym lepiej wypchać poduszkę dla dziadka: słomą czy sianem.

— Na nic słoma — powiada babcia.

— A mówiłam ci — wypomina żona.

I siano na nic, — ciągnie dalej babcia.

— Dziadkowi trzeba do poduszki pierza wyspaca, a spać będzie po królewsku.

— A prawda, to prawda — zgodzili się oboje. — Ale skąd wziąć pierza?

Wtedy babcia swój woreczek z koszyka wyciąga i mówi:

— Dam wam moje pierze, jeśli mi kilka jabłek do koszyka włożycie.

Co tu robić? Jabłek w ogrodzie nie ma! Jedno, co jej dać mogą, to kubiet najpiękniejszych kwiatów. Przostała babcia na to i z koszykiem pełnym róż w drogę ruszyła. Nie uszła stu kroków, gdy spotkała młodzieńca w bogatym stroju. Siedział na siwym koniu i rzewnie płakał.

— Co ci to, nieboże? — pyta babcia.

A młodzieniec na to:

— Ciężkie mam zamartwienie. Narzeczona czeka na mnie od rana, a szelma jubiler pierścionka mi na czas nie zrobił! Wstyd stanąć przed narzeczoną z pustymi rękami!

— Lepiej mieć puste ręce, niż puste serce. Ale, skoro się tak trapisz, dam ci moje róże, zanieś je narzeczonej, a ucieszysz się może więcej niż z pierścienia.

Chwycił młodzieniec róże, ledwie: „Bóg zapłać” zawołał i pognał do narzeczonej! Popatrzyła babcia za nim przez chwilę i dalej w drogę ruszyła. Aż tu nagle słyszy za sobą tętent i wołanie:

— Babciu, babciu, a tom ja z radości zapomniał was wynagrodzić! Macie tu łańcuch złoty, niech wam służy!

Włożyła babcia łańcuch do Koszyka i podreptała w stronę miasteczka.

— Za złoty łańcuch — myśli sobie — można dużo jabłek nakupić.

Wchodzi w ulicę miasteczka, ale, zanim do rynku doszła, spotkała dwoje zapłakanych dzieci.

— A wam co za krzywda?

— Matka nasza chora, jeść co nie mamy, wyszliśmy, może kto z sąsiadów pomoże.

— Dala im babcia łańcuch złoty na chleb, na mleko, na lekarstwo.

— Cóż my ci, babciu, za to damy? U nas w domu nie nie ma, chyba, że chcesz naszego pieska?

— Dobry i piesek.

Kładzie go babcia do koszyczka a psina kręci się i piszczy, bo mu się chce biegać i bawić. A babcia myśli:

— Kiedyż ja sobie szarlotkę upiekę? Za sliwki dostałam pierze, za pierze kwiaty, za kwiaty łańcuch, za łańcuch pieska, ale jabłek jakoś nie widać.

Idzie zamyślona. Nagle głowę podnosi i widzi przy drodze sad, a w nim jablonie z jabłkami czerwonymi. Pod drzewem siedzi staruszek i fajkę pali. Pozdrowiła go babcia i piękne jabłonki chwali. A dziadek na to:

— Co mi potem? Smutno mi samemu w sadzie siedzieć. Żebym to choć psinę jaką miał przy sobie, co to człowiekowi do nóg się tuli, to zaszczeka, to polizie.

Nie skończył jeszcze dziadek mówić, a już mu piesek babei na kolana wskakuje, różowym języczkiem liże, ogonkiem wymachuje. Za tego pieska byłby dziadek wszystkie jabłka w ogrodzie oddał, ale babcia tylko jeden koszyk miała, więc, gdy go dobrze napełniła, pożegnała dziadka, pogłaskała pieska i do domu zawróciła. I upiekła sobie szarlotkę taką wielką, że ledwie przez tydzień zjeść ją mogła. A pojedając, nieraz na sliwę spojrzy i myśli sobie:

— Zamiast sliwek mam jabłka do szarlotki, a Jasięk ma z nich powidła do chleba, ale przez nie także stary dziadek na pierze do poduszki, piękna narzeczona kwiaty, chora kobieta lekarstwo i chleb dla dzieci, samotny starowina wesolego pieska.

I nie żał jej, że się tak wiele nachodziła.

Opracowała z angielskiego

A. Oderfeldówna

# Gry zuchowowe

## BOCIEK

Bocian chodzi po łące (jest im zuch na szczudłach) i śpiewając:

„Żabki, żabki,  
Panny kiciolapki“ —

wypatruje żab. Po trzykrotnym śpiewie bociana ukryte żaby wyskakują ze schowanego z głośnym okrzykiem:

„Nie boimy się bociana  
Co ma buty po kolana!“

poczem skaczą (po żabiemu) szybko do swego stawu (koła o promieniu 10 metrów narysowanego na środku boiska), aby umknąć przed wrogiem.

„Bociek“ zaraz po okrzyku zeskakuje ze szczudła, układa je równo na ziemi (jedna obok drugiej) i „frunąc“ (biegnąc) dogania żaby. Dziobnięta (uderzeniem ręki) — zamienia się w bociana. Inne żaby ratując zagrożoną siostrę mogą rozrzucić szczudła. Wówczas „dziobnięcie“ będzie nie ważne. W tym wypadku bociek musi znów ułożyć szczudła i potem dopiero, gdy jeszcze są żaby przed stawem, je gonić.

## NAGANKA

Na ziemi rysujemy koło o promieniu 10 metrów i przestrzeń zewnętrzną dzielimy na dwie części — pole i las. Zuchw zaś, wewnątrz tego koła, trzymając się za ręce, tworzą drugie koło. Jest to naganka. Wewnątrz naganki jest zając, a zewnątrz pies. Pies pilnuje zająca, by nie umknął z koła naganki do lasu, czy w pole. Ten zaś, kręcąc się w kole i upatrując słabe miejsca i obserwując położenie psa powtórza bez ustanku:

„Czymch — las,  
Hyc — w pole!“

Może on wydostać się z koła pod rękoma naganiaczy, czy „przebiwszy“ je. W pierwszym wypadku czyni to wymawiając:

„Czymch — w las!“

Naganiacze zaś, by mu przeszkodzić przykucają. Jeżeli nie zdążyli uczynić tego zając wyrывa do lasu, uchodząc od psa.

W drugim wypadku czyni to wymawiając:

„Hyc — w pole!“

i biegnie tam, gdy przebił się.

Naganiacze za każdym razem, gdy powstrzymali zająca krzyczą chórem:

„Pozostań z nami w kole!“

Gdy pies nie złapał zająca, pary się zmieniają, a gdy złowił następuje zamiana. Zając, jeżeli omyłkowo pobiegł do lasu zamiast w pole, czy na odwrót, uważa się za złowionego.

## T A N

Stańmy kołem, kołem, kołem  
Zaśpiewajmy spolem, spolem  
I podskoczmy — hoc! wesoło  
I obróćmy się w około.

Do nas! Do nas! Żywo, żywo!

Radość mamy tu prawdziwą.

Hej — że dalej, dalej, dalej —

Hej — że dalej, dalej, dalej —

Będziem w lewo tańcowali.

Będziem w lewo tańcowali.

Hejże, hejże zuch do zucha

Niechaj huczy, niechaj bucha —

Hej — że dalej, dalej, dalej —

Hej — że dalej, dalej, dalej —

Będziem w lewo tańcowali.

Będziem w lewo tańcowali.

Śpiewając: „Stańmy kołem, kołem, kołem“, zuchy klaszczą w dłonie. Śpiewając drugi wiersz biorą się pod boki i w takt śpiewu lekko się kołyszą. Przy trzecim — podskakują a przy czwartym — obracają się wokół.

Śpiewając: „Do nas, do nas, żywo żywo“, przywołują do siebie machając ręką, poczem wspłatają koło i kręcą się w lewo, a wymawiając „Hejże dalej, dalej, dalej“ — odskakują.

Przy następnej zwrotce zmieniają kierunek posuwania się koła z lewego — w prawy.

## PO BRZESZCZOCIE ORĘŻA

Gdy zuchy, jako rycerze, mają już swoje miecze — wódz poddaje kolejno każdego z nich takiej oto próbie.

Jednemu zawiązuje się oczy, a pozostali stojąc w rzędzie podchodzą do niego i każdy wręcza mu swój miecz. Wódz zaś mówi:

„Poznaj męża  
Po brzeszczocie oręża“.

Gdy poddany próbie powie nazwisko właściciela, ten odchodzi na prawo, a którego nie zgadnie — ten odchodzi na lewo. Zanim jednak zuchowi odwiąże się oczy musi on wsłuchując się każdorazowo w kroki oddalających się, powiedzieć ilość swoich trafnych i mylnych odpowiedzi.

# SKLEP z ZABAWKAMI

Na okrągłym stole były szyny porozkładane w różne strony, była tam budka dróżnika, różne sygnały, latarnie, małe semafor, to jest takie wysokie słupy, na końcu których są kolorowe łapy. Te łapy się podnoszą, albo opuszczają. Są to umówione znaki, które dróżnik daje maszyniście na lokomotywie, czy linia kolejowa, jaką sunie pociąg, jest wolna, czy zajęta. Gdyby dróżnik niechcący źle nastawił taki semafor, to łatwo mogłaby się zdarzyć katastrofa i pociąg wpadłby na inny pociąg.

Konradek nakręcił tramwaj i puścił go po szynach, rad, że choć raz, pracując, mógł się w ten sposób zbawić. Uśmiechał się z radości, patrząc, jak tramwaj ruszał z miejsca, jak prawdziwy.

Pokazał tym chłopcykom potem, do czego jest taki duży krążek drewniany z szynami na poprzek. Takie samo urządzenie, tylko tysiąc razy większe, bywa na prawdziwej kolei.

Konradek wprowadził lokomotywkę po szynach na ruchomy krążek i obrócił go dokoła w ten sposób, że lokomotywka teraz była ustawiona kominem w przeciwną stronę, niż poprzednio. Obrócona w ten sposób maszyna mogła teraz jechać przodem w przeciwną stronę.

Tak te wszystkie cuda sklepu z zabawkami potrafił chłopcom przedstawić, że chociaż ta zabawka była bardzo droga, ale chłopcy tak bardzo prosili mamę, że im wreszcie zakupiła: i kolejkę, i tramwaje, i szyny, i semafor, i wszystko...

Musiała być zamożna mama tych chłopców, bo Konradek wiedział, że choćby nie wiem jak Jaś i Alisia prosili jego mamę o kupienie takiej zabawki, na nicby się to nie zdało.

Zanim tyle zabawek zapakowano, Konradek pokazał jeszcze chłopcykom inne piękne zabawki. Dzieci z zachwytem przyglądały się wspaniałemu okręciowi z trzema kominami, motorówce, statkowi parowemu.

Właśnie starszy chłopczyk nazwał ten duży, piękny okręt „Gdynią”, kiedy ich mama czym prędzej kazała obu synkom zabierać zapakowane wagony, tramwaje, szyny itd. i w ten sposób oderwała uwagę chłopców od nowych zabawek. Kiedy ta pani z synkami już wyszła ze sklepu, Konradek sobie pomyślał, że dlatego się

tak śpieszyła, bo obawiała się żeby chłopcy nie naprzykrzali jej się znowu, aby im kupiła okręt, który już zdążyli sobie przezwąć „Gdynią”.

Konradek miał tylko jedną parę obuwia. W podeszwie prawego bucika zrobiła mu się dziurka i na gwałt trzeba było oba dać do podzelowania. Czekał na pierwszą miesięczną zapłatę, aby dać trzewiki do naprawy. Marzył także o tym nieraz, wracając z roboty do domu i omijając troskliwie kałużę wody na ulicy w swoich dziurawych bucikach — jakby to było dobrze, gdyby mu z pensji zostało jeszcze trochę, choć troszeczkę pieniędzy. Pragnął bardzo zaraz po pierwszym miesiącu pracy kupić w sklepie jakie najtańsze zabawki dla swego braciszka Jasia i siostrzyczki Alisi. Już sobie upatrzył dla Jasia zabawnego pieska z wytrzeszczonymi oczkami, a dla Alisi dziwną i bardzo śmieszoną kaczuszkę. Kaczuszka miała wielki dziób i kusy ogonek, a piesek wielki łeb z wielkimi, zwisającymi uszami.

W tym sklepie był też osobny pokój z lalkami. Niektóre z tych lalek Konradek bardzo lubił, inne mniej, a paru z nich to nawet zupełnie nie lubił. Te, które mu się najbardziej podobały, nawet już ponazywał po swojemu. Chłopiec wiedział, że laleczki w „sabotach”, to jest w takich drewnianych chodakach, w szerokich sukienkach i spodenkach to są „Helenderka” i „Holender”. Tak jak rozróżniał Krakowiaków i Krakowianki od łowickich laleczek. Otóż miał wśród lalek ulubioną parę Holendrów. Ona i on mieli oboje duże, drewniane saboty. Ona na głowie miała śliczny, biały kapturek, w którym jej było bardzo, a bardzo do twarzy. Zawsze miała rączki schowane pod fartuszkciem, a jej braciszek prawdziwymi szklanymi oczkami wpatrywał się gdzieś w dal, jakby za morzami chciał zobaczyć swą holenderską ojczyznę. Te dziewczynkę Konradek przeważał Margeritką, a chłopczyka — Rudolfem. Czasem jak był w wesołym usposobieniu, ufał sobie, że zdola z czasem odłożyć tyle pieniędzy, iż na gwiazdkę Alisi sprawi Margeritkę a Jasiowi — Rudolfa. Gdy deszcz padał i było pochmurno, a Konradek był smutniejszy niż zwykle, wtedy nie wierzył, żeby kiedy udało mu się zbierać aż tyle pieniędzy, ile kosztowała para holenderskich laleczek.

(Dokończenie nastąpi.)

# W Genewie

W pierwszych dniach lutego zamknięta została „jubileuszowa” setna sesja Rady Ligi Narodów. Zjazd był dość liczny; przybyło siedmiu ministrów spraw zagranicznych. Pierwsze posiedzenia odbyły się z uroczystymi przemówieniami z powodu właśnie tego „jubileuszu”. Ale ministrowie wkrótce się rozjechali, bo nie mieli co w Genewie robić, i pozostawili tylko swoich zastępców. W ogóle zaś nastrój na tej setnej radzie panował raczej smutny i zniechęcony, gdyż najgorętsi nawet zwolennicy Ligi Narodów przekonali się już, jak bardzo jest ona bezsilna w swoim głównym zadaniu: ochronie pokoju międzynarodowego i obronie państw napadniętych przed napadającymi.

Nie pomogła Liga Abisynii, a „sankcjami” czyli zarządzeniami ekonomicznymi przeciwko Włochom tylko je rozdrażniła i w końcu spowodowała wystąpienie Włoch z Ligi. Teraz chętnie by je Liga na powrót ujęła uznaniem podboju Abisynii, ale to zależy nie od Ligi tylko od zgody włosko-angielskiej; a że tej zgody dotąd nie ma, więc Liga nie poradzi nic może. Dawniej jeszcze przed kilku laty próbowała Liga bronić Chin, gdy im Japonia najechała Mandżurię. Stąd jednak wynikał tylko taki skutek, że Japonia się z Ligi wycofała. Obecnie więc spośród wielkich mocarstw nie należą do Ligi: Stany Zjednoczone, Japonia, Niemcy i Włochy.

Toteż na tej setnej „jubileuszowej” radzie polski i szwedzki minister spraw zagranicznych oświadczyli, że choć bardzo Ligę szanują i życzą jej wszelkiej pomysłowości, ale uważają, iż artykuł 16. statutu Ligi, który zobowiązuje jej członków, ażeby czynnie występowali w obronie państw napadniętych przeciwko napadającym, przestał obowiązywać; a postawa, jaką każde państwo do Ligi należące ma zając wobec stron wojujących, zależy wyłącznie od uznania rządu tego państwa. Na to oświadczenie wszyscy się milcząco zgodzili; i odąd można uważać, że Liga nikomu żadnej pomocy udzielić nie jest zdolna i nie udzieli.

Ta zasada znalazła zaraz praktyczne zastosowanie wobec obecnej wojny chińsko-japońskiej. Przedstawicielowi Chin pozwolono tylko żałośnie się wygadać. Nie zrobionoby dla Chin z pewnością nic, gdyby nie to, że najazd japoński nie jest na rękę mocarstwom zachodnim i Moskwie. Szczególnie sowiecki minister spraw zagranicznych Litwinow domagał się, ażeby Liga przynajmniej uchwaliła Chinom, poparcie moralne” oraz ażeby pochwaliła wszelką „pomoc indywidualną”, jakiejby zainteresowane państwa Chinom zechciały udzielić. Rada rzeczywiście powzięła uchwałę, tylko nieco jeszcze skromniejszą, bo wyraziła Chinom swoje współczucie i oświadczyła, że zainteresowane państwa na Dalekim Wschodzie mają „wolną rękę”, czyli mogą robić, co im się podoba. Przedstawiciel Polski wstrzymał się przy tym od głosowania zastrzegając się, iż jego Rząd nie może z góry pochwalić każdego kroku, jaki by to lub owo państwo na Dalekim Wschodzie chciało przedsięwziąć.

Jak dawniej, tak i teraz ważniejsze od uchwał Ligi Narodów jest to, co w związku z tymi uchwałami poszczególne państwa przedsięwiorą poza Genewą. Jeżeli Litwinow tak gorąco popierał Chiny w Genewie, to czynił to dlatego, żeby mocarstwom zachodnim dać do zrozumienia, iż Moskwa rzeczywiście byłaby gotowa wystąpić w obronie Chin przeciwko Japonii, a więc dopomóc mocarstwom zachodnim do powściągnięcia japońskiego najazdu. Ale Moskwa obawia się Niemiec, więc chce, ażeby mocarstwa zachodnie przestały szukać porozumienia z Niemcami; i raczej im się przeciwstawiły. Chce również Moskwa, ażeby mocarstwa zachodnie nie myślały o pomocy ekonomicznej tylko dla Niemiec i państw środkowo-wschodnich, lecz aby taką pomoc ofiarowały przede wszystkim Moskwie.

Nie tylko zresztą nadzieją swego wystąpienia przeciw Japonii usiłuje Moskwa pozyskać sobie Anglię, Francję i Amerykę. Jednocześnie stara się je poróżnić z Niemcami i Włochami w Hiszpanii i gdzie indziej.

A. P.

## Jubileuszowe przedstawienie w Daugawpils

W niedzielę 27-go b. m. 100-ne przedstawienie teatrzyku kukiełek Związku Polskiej Młodzieży w Daugawpils, w Domu Polskim. Zostanie odegrana bajka

„O straszliwym smoku, prześlizgniętej królowej, o królu Gwoździaku i dzielnym szewczyku“

Odbedą się dwa przedstawienia. Pierwsze o godzinie 3-ciej, drugie o 6-tej. Dla dzieci wejście bezpłatne, a le za biletami. Bilety już można otrzymać w zarządzie głównym ZPM

# Listy od Redakcji



### SUDMALI

**Wercia Beikulówna.** Tak dawno od Ciebie nie mieliśmy listu, że bardzo ucieszyliśmy się, iż napisałaś i podziękowałaś za książkę. Pieniądze za gazetę Redakcja otrzymała, o czym za naszym pośrednictwem Ciebie powiadamiam i dziękuję Ci, a gazetę wysyła nadal po staremu. Czy już przeczytałaś książeczkę, którą Krasnale Ci posłali? Jeśli już zdążyłaś przeczytać, to daj też innym koleżankom do przeczytania. Książki do nabożeństwa pod tytułem „Służba Boża” nie mamy. Ale w Rydze jest księgarnia polska, w której można tę książkę otrzymać. A żeby więc Ci przysłano tę książkę, musisz posłać pieniądze pod adresem: **G. Butkiewicz, Gramatu veikals, Riga, Kr. Barona iela 14.** Na miejscu, w którym można pisać, należy napisać, że pieniądze te są za książkę do nabożeństwa: „Służba Boża”. Za parę dni otrzymasz ją. Wysłać należy Ls 4.50, bo tyle kosztuje wraz z przesyłką

### RYGA

**Marysia Lipnicka.** Kochanie, dziękujemy Ci bardzo za liścik i wierszyki. Niestety, wierszyków zamieścić w „Krasnoludkach” nie możemy, gdyż zawierają bardzo dużo błędów. Jednakże mamy nadzieję, że nauczysz się wkrótce dobrze pisać i wtedy Twoje utwory ogłosimy. A może spróbujesz napisać nam jakieś opowiadanko? Krasnale dziękują Ci za życzenia noworoczne, które, chociaż są spóźnione, ale zawsze miłe. Czekamy od Ciebie listu, w którym napiszesz nam, gdzie się uczysz, czy masz rodzeństwo i ile masz lat.

### KRACE

**Wladek Janiewicz.** Kartkę Twą otrzymaliśmy. Cieszymy się, że Ci książeczka nasza podobała się. W Rydze pogoda jest przeważnie ciepła, toteż śnieg już stopniał i jeżdżą na kolach. Niektórzy już cieszą się, że nadchodzi wiosna. Wkrótce — od czasu do czasu — będziemy umieszczali lamigłówki i rebusy, a kto je trafnie rozwiąże, otrzyma ładne książeczki w nagrodę. Krasnale zasyłają Ci najserdeczniejsze pozdrowienia.

Adres „Krasnoludków”; Redakcja „Nasze Życie”, Riga — Dzirnau 57, „Krasnoludki“